



NIE SAMYM CHLEBEM...

Biuletyn Okolicznościowy
Parafii p.w. Stygmatów św. Franciszka z Asyżu w Bronowicach Wielkich

nr 27

2001

BOŻE NARODZENIE

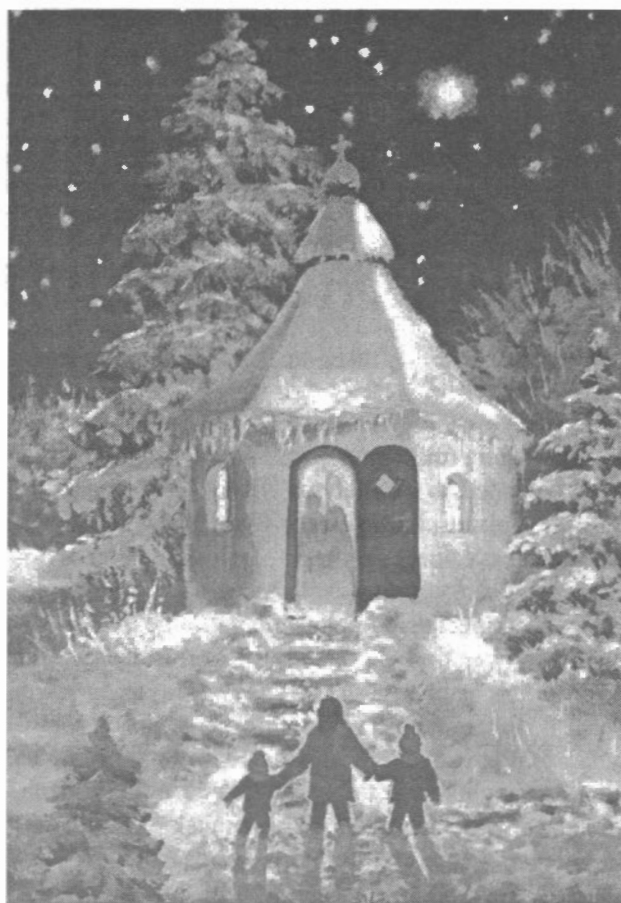
A słowo ciałem się stało i zamieszkało między nami...

Znowu nastał cudowny czas Bożego Narodzenia. Bóg się narodził! Ale czy narodził się On w domu każdego z nas? Czy zamieszkał w każdym sercu? Czy pamiętamy, na czym polega ten czas i jaki jest tak naprawdę sens przeżywanego święta? Czy istota świąt Bożego Narodzenia nie zanika powoli, przytłaczana mnóstwem słodczych, różnobarwnych prezentów, podróży na egzotyczne wyspy i wszystkim, co błyszczący i oślepia, a co udało się wymyślić fantazji reklamy? Wielka machina świąteczna coraz bardziej oddala je od tego co najważniejsze: od przyjścia Syna Bożego. To tak, jakby ktoś chciał „porwać” Dzieciątka Jezus z jego żłóbka i spowodować Jego zniknięcie, wywołując wielki zamęt, kolorowy i wesoły, ale bez szczególnego znaczenia, poza maksymalną rozrywką. Wielu ludzi sądzi, że czas Bożego Narodzenia polega przede wszystkim na podarkach i na pewnym dobrobycie materialnym.

A przecież głęboki sens tego święta wyraża się w tym, że Syn Boży staje się biednym i bezbronnym Dzieckiem, aby ludzie mogli zostać zbawieni i stać się synami Bożymi. Boże Narodzenie jest pamiątką czegoś „cudownego” i tak powinno być przeżywane – we wzajemnej akceptacji, w spotkaniu, w ofierze. Podarowanie nawet najbardziej kosztownych „rzeczy”, nie czyni jeszcze święta. Ważny jest dar własnej uwagi, własnej miłości, własnego przebaczenia. To może kosztować bardzo wiele, ale tak Boże Narodzenie może stać się rzeczywiście wielką okazją, by nauczyć się życzliwości w rodzinie, we wspólnocie kościelnej, w mieście.

Bóg w czasie Bożego Narodzenia okazuje ludzkości gest największej „czułości”: staje się Człowiekiem, aby wszyscy ludzie nauczyli się być Jego synami. Przychodzi nauczyć ich przebaczenia, przychodzi nauczyć ich odwagi, aby mogli żyć sprawiedliwie i z miłością.

Kilka lat temu tuż przed Bożym Narodzeniem telewizja francuska nadała program, w czasie którego ka-



Oryginał malowany ustami, autor: Stanisław Kmiecik

mery ustawiono w ukryciu przed pawilonem handlowym w Paryżu. Młody człowiek pytał ludzi wychodzących ze świątecznymi zakupami, czy mogliby pomóc młodemu małżeństwu, przybyłemu z Palestyny? Są w trudnej sytuacji – nic nie mają, a ona spodziewa się dziecka. Nikt z pytanych nie odpowiedział pozytywnie, wszyscy mieli jakieś trudności. *Nie było dla nich miejsca...* Dopiero właściciel małej kawiarenki, Algierczyk, ofiarował swoją pomoc.

Ludzie wciąż mówią o wierze w Boga, wołają jednak, by był On bardziej nieobecny, mniej bezpośredni, raczej historyczny niż dzisiejszy. A On się narodził i zaczął królować! Miejmy odwagę zapytać, czy narodził się On w moim domu?

Ciąg dalszy na str. 2

A słowo...

Ciąg dalszy ze str. 1

Dziecko, które przyszło na świat było Synem Boga Najwyższego. Bezradnie otworzyło ręce. Boga można było wziąć w ramiona. I wyciągnęły się do Niego różne ręce: – te najbardziej kochające ręce Matki; ręce męskie – pełne troski i zakłopotania ręce Józefa, a także spracowane, twarde, ale szczerze ręce pasterzy, niosące to,

co miały, dzielące się swoim ubóstwem. Bóg czekał na te ręce i oddał się im bez zastrzeżeń.

Betlejemską noc była nocą wyciągniętych rąk ludzkich w stronę Boga. A czy nasze ręce czekają z radością na nowo narodzonego Boga?

W wieczór wigilijny pada wiele życzeń w naszych rodzinach. Ja również dołączam się do nich. W trzecim tysiącleciu przebywania Chrystusa pośród nas NIE MOŻE zabraknąć Go w naszych rodzinach. Weźmy dziś Chrystusa do

siebie, do naszych domów i niech w nich króluje. Ojciec Święty na początku swego pontyfikatu wołał: „Nie lękajcie się, otwórzcie drzwi Chrystusowi”. Jezus, Syn Boży, przyszedł do człowieka. I nadal przychodzi, mając nadzieję, że znajdzie ręce czyste serca otwarte i ufne, podobne do rąk i serca dziecka. Wyciągnijmy więc nasze ręce i serca! Chrystus nas potrzebuje!

Szczęść Boże!

o. Wiktor Wilkosz

O KOLEDACH POGRANICZĄ WSCHOĐNIEGO – ciąg dalszy

Dokładnie rok temu – jak ten czas szybko biegnie – pisałem w „Biuletynie” (nr 24) o kolędach pogranicza polsko-ukraińskiego. Swój tekst zakończyłem wówczas takimi słowami: „Jeśli idzie o teren pogranicza polsko-ukraińskiego, to jego szczególną cechą jest zetknięcie się i nałożenie na siebie dwóch tradycji: ludowej tradycji kolędy noworocznej, bardzo żywotnej na gruncie „ruskim” oraz tradycji nowszej pieśni bożonarodzeniowej, opartej na wątkach biblijnych i teologicznych. W rezultacie powstaje tu nowa odmiana gatunkowa, jaką jest kolęda apokryficzna, wpisująca wartości i treści chrześcijańskie w tradycyjną poetykę obrzędu i folkloru słowiańskiego. Przy ogólnym podobieństwie wątków i ujęć gatunkowych w obu językach, polskim i ukraińskim, kolęda apokryficzna była tworzona i rozwijana samodzielnie, co starałem się pokazać na przykładzie tekstu rozwijającego temat ucieczki do Egiptu. Inne przykłady pozostawiam sobie na później”.

No cóż, słowo się rzekło, kobyłka u płotu. Zapewne Czytelnicy już dawno zapomnieli o moich obietnicach, jednakże ja zwykłem dotrzymywać danego słowa i mimo że wiele innych pilnych tekstów czeka niecierpliwie, kiedy wreszcie się za nie zabiorę, postanowiłem, wykorzystując wolną sobotę, napisać dalszy ciąg opowieści o kolędach pogranicza wschodniego i pod choinkę na Boże Narodzenie podrzucić.

Kiedy już wiemy, jaką mamy snuć nić opowieści, możemy spokojnie przejść do rzeczy. Punktem wyjścia dla naszych rozważań będą – podobnie jak rok temu – pieśni kolędnicze z Bronowic, które zebraliśmy i zapisaliśmy przed laty w specjalnym dodatku do „Biuletynu” (nr 5, 1995). Większość z nich w ciągu kilku stule-

ci swego istnienia rozprzestrzeniła się na obszarze Polski południowo-wschodniej, wtapiając się też w kulturę ludową naszych katolickich braci-Słowian ruskich. Mówić tedy będziemy o dwóch typach kolęd: o kolędach noworocznych, życzeniowo-obrzędowych, które w polskiej tradycji ludowej są już reprezentowane nadzwyczaj skromnie oraz o ludowych kolędach bożonarodzeniowych, opowiadających o wydarzeniach związanych z narodzeniem Jezusa i kolędach apokryficznych, dotyczących wydarzeń z życia Najświętszej Rodziny.

Do pierwszego z wymienionych typów zaliczymy z pewnością pieśń pt. „Słuchaj gospodarzu”, której fragment w wersji bronowickiej brzmi tak:

Słuchaj gospodarzu, co my ci powiemy.
A my ci powiemy, że cię przebudzimy.
Bo na twojej roli złoty płużek stoi.
A za onym płużkiem sam Pan Jezus chodzi.
Święty Piotr i Paweł koniki Mu wodzą.
Najświętsza Panienska śniadanko im nosi.
Śniadanko nosiła, szczęścia im życzyła.

Ta niewątpliwie gospodarska kolęda, oparta na wątku orania pługiem pola przez Pana Jezusa, Matkę Boską i świętych jest popularna w Polsce, ale też na Ukrainie i Białorusi. J. Konopka zapisał ją w nieco innej wersji językowej w opublikowanym w 1840 roku w Krakowie zbiorze pt. „Pieśni ludu krakowskiego”:

Hej nam hej! a na onej roli złoty płużek stoi.
A przy owym płużku ctery konie w cużku.
Na naręcznym koniu święty Szczepan siedzi,
A święty Jan im koniki wodzi.
A za onym płużkiem sam Pan Jezus chodzi.
Najświętsza Panienska śniadanko nosiła,
Śniadanko nosiła, scęścia im życzyła.

Lubelscy badacze kolęd wschodniego pogranicza ustalili, iż w Polsce zdecydowanie dominuje wariant, w którym oraczem jest Pan Jezus, towarzyszy mu Matka Boska i święci (np. św. św. Piotr, Paweł, Szczepan, Jan). Potwierdzają to zbiory pieśni ludowych XIX–XX w. takich polskich autorów jak J. Konopka (Kraków 1840), Z. Gloger (Kraków 1892), O. Kolberg (Kraków 1871–1976), J. Świątek (Kraków 1893), F. Kotuła (Warszawa 1970). Tylko wyjątkowo zdarza się orka bez tych osób. Warianty z terenu Ukrainy, których badacze doliczyli się aż 45 mają albo charakter bardzo religijny (najpowszechniejszą postacią jest tu Matka Boska), por.

Ej w poli, w czysteńkom poli
Tam że my jore zołotoj płużok.
A za tym płużkom chodyt' sam Hospod',
Jemu pohaniat ta Swiatyj Petro.
Mateńka Boża nasiniczko nosyt',
Nasynia nosyt', Pana Boha prosyt':
– Zarody Bożejku, jaru pszenyczekju...

(P. Caraman, *Obrzęd kolędowania u Słowian i u Rumunów*, Kraków 1933, s. 42)

albo też najzupełniej świecki, bez osób boskich. Ten drugi zespół wariantów uznać należy za pierwotną postać motywu, wywodzącą się jeszcze z czasów przedchrześcijańskich. Pogańskie wątki ogólnosłowiańskiej kolędy noworocznej uległy zatem stopniowej chrystianizacji, powolnemu przekształceniu w duchu religii chrześcijańskiej.

Doskonałą ilustrację przemieszania motywów ludowych z apokryficznymi stanowi kolęda, pt. „A na łące, na zielonej”, której wersja bronowicka zachowała się w następującej postaci (na apokryficzne źródło wskazuje rzadko podejmowany w kolędzie motyw zwiastowania):

A na łące, na zielonej przy pięknej dolinie,
Cudna piękna, o Maryja, na cały świat słynie.
Siedzi ona w Nazarecie w pokoiku swoim.
Rozmawiała, przemawiała Zbawiciela słowem.
Przyleciało do niej z nieba skrzydlate ptaszatko:
Weselmy się, radujmy się, bo będzie dzieciątko.
(...)
Boża Matko, nie turbuj się, przez Ducha Świętego,
Jak zapoczniesz, tak porodysz Syna Przedwiecznego.

Zapisano dotąd 38 wariantów tego tekstu z obszaru Polski południowej i wschodniej. Można się z nimi zapoznać w Archiwum Etnograficznym UMCS w Lublinie. Tu przytaczamy jeden z nich, pochodzący z Krasiczyna (dawne woj. przemyskie) z roku 1988:

Na zielonej łące, przy niskiej dolinie,
Sława Panny Przenajświętszej na cały świat słynie.
Przyleciało z nieba małe pacholątko,
Przyleciało, oglądało, czy będzie dzieciątko.
Panienka się ulekła, nisko się skłoniła,
Swoje oczka i twarz świętą na dół opuściła.

O Panienko, nie lękaj się, przez Ducha Świętego,
Bo porodisz jako zechcesz, Boga prawdziwego.

Sposób opisu przeżyć i zachowanie Panny Świętej („się ulekła, nisko się skłoniła, swoje oczka i twarz świętą na dół opuściła”) bliższy jest tu apokryfom, niż Ewangelii kanonicznej. Szczególne podobieństwo widoczne jest, gdy chodzi o sposób ujęcia sceny zwiastowania w „Rozmyślaniu przemyskim” („a ona się jemu [Gabrielowi] zasie odkłoniła”), największym polskim apokryfie i jednocześnie największym staropolskim zabytku (XV w.).

Apokryficzność przejawia się także w eksponowaniu cudowności jako przejawu nieustannej obecności Bożej w świecie, nieprawdopodobności zdarzeń, niezwykłości i baśniowości, a nawet cudaczności. Niewątpliwie cechy te posiada kolęda ludowa, która przedstawia rozmowę Maryi z narodzonym Jezusem, a zwłaszcza deklarację ze strony tylko co narodzonej Dzieciny przyjścia z natychmiastową pomocą głodnej Matce i wypełnienia jej prośby o zdobycie pokarmu, por. wariant bronowicki:

Oj, lulaj, lulaj, Synu mój, cóż bym ja śniadała?
Oj, rybki bym ja śniadała, gdybym ci je miała.
Poczekaj Matulu na chwilę, na małą godzinę,
Ino się spuszczę do morza, ułowię węgorza.
(...)
Anieli ogień składali, rybki gotowali.
Masz tu, Matuchno, śniadanie, Twoje rozkazanie.
Jeszcze nie uszła godzina, jakżem Cię powiła,
Jeszcze nie uszło trzech godzin, jakżeś się narodził.

W wariacie pochodzącym ze wspomnianego już Krasiczyna (przemyskie), kładzie się nacisk na chęć odpoczynku (snu) zmęczonej Matki Jezusa:

Poczekaj, Matulu, choć jedną godzinę,
Niech ja pójde tam do raju przyniosę pierzynę.
Synu, Ty mój, Synu, gdziebyś Ty to zrobił,
Jeszcze nie ma dwie godziny, jakżeś się narodził.

Swoje krótkie rozważania chciałbym zakończyć przytoczeniem cytatu z pracy J. Bartmińskiego zatyt. „Ludowe kolędy apokryficzne”. Píše on: „Teksty ludowych kolęd bożonarodzeniowych w swojej treści są



„Szopka” wystawiona przez studentów
Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskiej UJ w Krakowie

oparte na przekazie ewangelicznym o narodzeniu Jezusa, równocześnie obficie wykorzystują tradycję apokryficzną, sięgającą średniowiecza. Są przykładem folklorystyki Ewangelii, tj. ujmowania jej treści i przesłania w konwencji artystycznej folkloru. Teksty te funkcjonują w ramie tradycyjnego obrzędu, która okazuje się elementem bardzo trwałym, stawiającym „największy opór”, w prostym – ludowym, choć niekoniecznie gwarowym! – języku przekazują sugestywnie ujętą po swojemu historię narodzenia, „dramat ubogiego macierzyństwa” i radość z rodzącego się nowego życia. Jest w nim intymność rodzinna, kult Panienki-Matki, jest uczucie radości i zbratania; jest realizm, przeświecony symboliką, która przełamuje dosłowność i kreuje sakralny, poetycki wymiar świata. Chrześcijańskie tematy i idee wcielają się w poetykę folkloru. Ludowa kolęda apokryficzna jest najbardziej oryginalnym i godnym uwagi zjawiskiem rozwijającym się na przecięciu chrześcijaństwa i ludowości, zjawiskiem specyficznym dla kultury polskiej (poniekąd także ukraińskiej [...]). Ta właśnie grupa kolęd może być, jak sądzę, traktowana jako stylistyczny prototyp kolędy polskiej”.

Czyż może być lepsza zachęta do śpiewania kolęd ludowych niż ta, którą znajdujemy w przytoczonych wyżej zdaniach lubelskiego filologa? A więc drodzy Bronowiczanie, śpiewajcie w Święta przy choince także „Oj, stałoś nam się wesele” i „Oj, stał się nam dziś dzień wesoły czasu onego”. Tym bardziej, że jak pisze ten sam autor, od lat utrzymuje się w Polsce moda na kolędownie na ludowo, której bodaj najbardziej udanym artystycznie owocem jest pastorałka „Oj, maluski, maluski, jako rękawiczka”. „Jest to nie tylko sięganie do wzorca poetyckiego kolędy, lecz raczej – do tradycyjnego świętowania z całym jego bogatym systemem wartości: postawy solidarności z życiem” i zbratania wszystkiego, co żyje; akceptacja świata i drugiego człowieka, kultu matki i dziecka, naiwnej uczuciowości”.

A jak doczekamy, to za rok porozmawiamy znów o kolędach pogranicza. Może tym razem będzie to pogranicze południowe, polsko-czeskie, polsko-słowackie. Żywię nadzieję, że wtedy wyręczy mnie w tym mój syn, student II roku filologii czeskiej UJ.

Adam Fałowski

Wesele, „Wesele”...

Jak to śpiewali kiedyś przy okazji bronowskiego wesela, kiedy zabierali pannę młodą do kościoła?

Wesele, wesele,
Pon młody w kościele,
Pani młodo w domu,
gotuje korpiele.

Nie wiem, czy ktoś miał odwagę tak przyśpiewać Lucjanowi Rydlowi, kiedy 100 lat z okładem temu (20 XI 1900 r.), zabierał swoją ukochaną Jadwinę Mikołajczykównę na piękną uroczystość ślubną, która zelektryzowała cały Kraków. Pewnie nikt nie ośmielił się zażartować w ten sposób. Choć z drugiej strony nie brakło kpin i oburzenia: „Widzieliście, z chłopką się żeni! – Świat się do góry nogami przewraca.” Cóż, miłość nie wybiera, dziewczyna była urodziwa, a drogę do Bronowic przetarł już „miastowej” inteligencji Włodzimierz Tetmajer, żeniąc się dzieśnięt lat wcześniej ze starszą siostrą Jadwigą, Anną. Jak widać, musiały

być Mikołajczykówny piękne, oj musiały, skoro na pobitym polu zostały panny z dobrych domów.

I pojechało krakowskie wesele do Kościoła Mariackiego: „z družbami pędzącymi cwałem na spienionych koniach, z dzwonieniem, trzaskiem harapów i tętentem. Wiesz – pisał Rydel w liście do przyjaciela – jak wieją z wiatrem kity pawich piór, jak wydymają się chustki barwne przypięte u ramion družbów, jak się palą czerwone rogate czapki na głowach. Widziałeś, jakie wieńce mają panna młoda i drużna: jakby jakieś mitry wysokie uplecione z trzęsieleń złocistych i z błyskotek, z kolorowych paciorków i wstążek. Widziałeś, jak jadą wozy pełne kobiet w stubarwnych strojach i gorsetach i chustach kraciastych – i mężczyźni w białych sukmanach. Tak do ślubu jechałem – taki był mój weselny orszak. Ja (w dniu wesela, ale już nie w kościele) ubrany byłem po chłopsku, w białą sukmanę, pod nią granatowy żupan długi po kolana, zdobny na przodzie zie-

lonymi kutasami, pod żupanem (bez rękawów) kamizela czerwona z rękawami, cała obszywana na przodzie złotymi galonkami. Koszula, z haftowanym stojącym kołnierzykiem, zapięta pod szyją czerwoną koralową spinką. Pod sukmaną pas szeroki skórzany, gęsto nabijany mosiężnymi gwoździkami. Spodnie w paseczki białe i czerwone, buty z cholewami, a na głowie czapka krakuska z kitą pawich piór i z galonkiem srebrnym, obiegającym dokoła czarnego barankowego obkładu (...) Zanim ogromny orszak ślubny porożsiadał się na wozach, poszedłem przebrać się z sukmany we frak. Do samego Sakramentu postanowiłem bowiem przystąpić w czarnym stroju dla uniknięcia choćby pozorów teatralności i pozy (...) siadłem z Jadwisią, z drużną i kilkoma starszymi kobietami na pierwszy wóz, a za nami ruszyło 9 innych ogromnych wozów, pełnych gości weselnych (...) pędziliśmy do Krakowa. Na Rynku tłumy ludzi. Wzdłuż linii A-B do samego kościoła stało kilka tysięcy osób, wśród nich znajomych mnóstwo, którzy witali nas

powiewaniem kapeluszków. W kościele ścisk i tłok nie do opisania. Zajechaliliśmy na placyk przed Św. Barabara i z trudem przedostaliśmy się do kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej, bo to jest parafralny ołtarz bronowicki. (...) Jadwisia była prześliczna. Zapomniałem dodać, że na cały strój już opisany wdziała, wyjeżdżając z domu, ciepłą „katanę”: jest to rodzaj krótkiego żakietu, wowanego trochę. Katana jej ślubna była z materii bladoaramantowej, przerabianej w wielkie srebrne liście i szkarłatne kwiaty. Rękawy aż po łokcie i sam przód na piersiach naszywany galonkami, paciorkami, kolorowymi szkiełkami. Takiej katany jak świat światem nie było, obok gorseta była podziwem całej wsi i całego Krakowa.”

Urzekający to opis, pełen radosnego uniesienia z powodu posłubienia ukochanej dziewczyny. Warto go przypomnieć, by ożywić nieco wspomnienia, oddać coś z wyjątkowego nastroju tamtych chwil.

Potem przyszedł czas na słynne weselne gody. Zebrało się na nich szczególne towarzystwo: wspólny stół i zabawa połączyła przedstawicieli stanów tak różnych i pełnych wzajemnych uprzedzeń (żywe jeszcze w pamięci zbiorowej echa krwawej rabacji w 1846 roku, związanej z nazwiskiem jej chłopskiego przywódcy, Jakuba Szeli). Oto świętujący wspólnie siemieni chłopcy i „państwo” z miasta we frakach i modnych kreacjach pań. Musiało w tym pełnym kontrastów zestawieniu być coś uderzającego dla Stanisława Wyspiańskiego, twórcy jakże wyczulonego na dziejową świadomość narodu, przyczyny jego chwały i bolesnego poniżenia. Dla współczesnych liczyła się bardziej strona anegdotyczna samego towarzyskiego wydarzenia, mającego posmak towarzyskiej sensacji i skandalu. Kto ciekaw ploteczek o ślubie Rydlów i weselnej nocy, może sięgnąć do „Plotki o «Weselu» Wyspiańskiego” autorstwa Boya-Żeleńskiego, który tę szczególną

atmosferę znakomicie uchwycił. Sam Pan Młody w liście do przyjaciela opisał swe wrażenia następująco: „Był to widok jedyny w swoim rodzaju i zupełnie niezwykły, kiedy u Tetmajerów (dodajmy: bawiono się – z racji wielkiej liczby gości – w samej Tetmajerówce, a także u Mikołajczyków i w pobliskiej karczynie Hirsza Singera) zasiedli przy jednym stole panowie we frakach, a między nimi wiejskie kobiety w naszywanych gorsetach i koralach u szyi, i panie w sukniach wizytowych, i chłopcy w sukmanach. A najmilsze z wszystkiego było to, że całe tak nadzwyczajnie dobrane towarzystwo było bardzo swobodne i wesołe i najwidoczniej dobrze się bawiło.”

Dziś nikt by zapewne o tym najśłynniejszym w historii literatury polskiej weselu nie pamiętał, może zaświadczałaby o nim jedynie wzmianka w kronice towarzyskiej krakowskiego „Czasu”, gdyby nie geniusz Wyspiańskiego, który umiał dostrzec w tym wydarzeniu codziennej rzeczywistości wymiar narodowego dramatu, przeczarować je w pełną symboliczną głębię poezje.

O „Weselu”, wystawionym po raz pierwszy w Krakowie, 16 marca 1901 roku (por. niedawne obchody tej okrągłej rocznicy), wypisano już morze atramentu, każdy uczeń szkoły średniej, wykształcony Polak zetknął się z opracowaniami na ten temat (choćby w szkolnym podręczniku). Większość miała okazję oglądać je na scenie, wystawiane najchętniej w chwilach określanych potocznie „zakrętami historii”, kiedy ożywają pytania o narodową, polską tożsamość, prawdę o nas samych. Nie zamierzam w tym artykule dołączać do grona uczonych komentatorów dzieła Wyspiańskiego. Pragnąłbym jedynie zająć się tym, co wydaje się ważne dla miejscowej społeczności: co w „Weselu” jako utworze literackim w szczególny sposób dokumentuje związki z tradycyjną kulturą bronowicką. Idzie tu o za-

pomnianą już, niestety, albo obecną tylko w nielicznych pozostałościach bronowicką gwara, którą przemawiają z kart dzieła i z desek scenicznych chłopskie postaci dramatu. Podkreślmy, by uniknąć nieporozumień, że w świetle badań naukowych to nią (!) właśnie, nie zaś bliżej nieokreśloną gwarą podkrakowską (jak sądzą niektórzy), posługują się Czepiec, Ojciec, Klimina, Marysia, Jasiek, czy Panna Młoda. Wypada też się usprawiedliwić z takiego zamiaru, skoro autor rodem z Bronowic Wielkich zamierza pisać o tym, co bliższe środowisku i tradycji sąsiednich Bronowic Małych.

Przed wszystkim obie dawniejsze wioski od wieków pozostają w najściślejszych związkach, spełniających się głównie w wymiarze społecznym, a nie prawno-administracyjnym. Miara ich mogą być stosunki rodzinne, np. rodziny Czepców, Mikołajczyków, Maronów, Morawców mieszkają w obu dawnych, podkrakowskich wioskach (dziś potomków niektórych starych rodów, np. Mikołajczyków i Czepców znaleźć można przede wszystkim w Bronowicach Wielkich). Istnieje nadal poczucie szerszej wspólnoty, której widomym znakiem jest nasz cmentarz (dawniej parafialny) – miejsce wiecznego spoczynku mieszkańców obu dzisiejszych osiedli wielkiego Krakowa, a w tym, co istotne, liczne grona osób, które były pierwowzorami postaci „Wesela”, łącznie z cieszącym się wielkim szacunkiem wśród miejscowego chłopstwa Włodzimierzem Tetmajerem i jego żoną. To ona, wedle miejscowej tradycji, kazała postawić przy głównej alei obelisk będący dziekczynnym wotum za proroczy sen, dzięki któremu odnalazła zwłoki syna poległego w wojnie z bolszewikami. Pamięć o wydarzeniach tamtego czasu zatarł już czas, w przeszłość odchodzi bezpowrotnie także bronowicka gwar, wystawiona na przemożny wpływ polszczyzny miejskiej. Dziś tylko

nieliczne jej refleksy można zauważyć w języku mieszkańców obu osiedli. Gwarę miejscową, znacznie już zmienioną w stosunku do mowy pradziadów, znam (dość biernie) od starszych. Znajomość tę utrwaliłem w czasie studiów, kiedy pisałem pracę magisterską o języku Bronowic Wielkich i przygotowałem niewielki słownik wyrazów i zwrotów charakterystycznych dla miejscowej gwary. Rozmawiałem podówczas z wieloma już dawno zmarłymi ludźmi i nauczyłem się cenić to, co swojskie i polskie zarazem. Kiedy więc profesor Marian Kucała z PAN zaprosił mnie do napisania w setną rocznicę krakowskiej premiery „Wesela” artykułu o gwarze w tym słynnym dziele, tym chętniej zasiadłem do studiów nad tekstem utworu. Nieco zgromadzonych faktów, a także coś z niezwykłej dla mnie przyjemności odkrywania na nowo bronowskiej gwary w jednym z najsłynniejszych polskich dramatów narodowych, przekazać chciałbym dziś Państwu (będę oczywiście wdzięczny za wszelkie, także krytyczne uwagi).

Jak wiadomo, Wyspiański służył ze swej pieczołowitości w od dawaniu realiów opisywanego w utworach świata. Zachowały się np. w listach, wspominkach liczne jej świadectwa. W przypadku „Wesela” (utwór współczesny, nie sięgający do odległej historii) nie musiał w swej docieklivości uciekać się do gruntownych studiów nad zewnętrżnością i językiem bohaterów. Wszystko było o wyciągnięcie ręki: chłopskie stroje, zachowania, język należały co prawda do odrębnego świata, jednak żywo obecnego w ówczesnym Krakowie (handel produktami rolnymi, wiejska służba w domach, modne wycieczki na podmiejską wieś, rosnące zainteresowanie folklorem itp.). Dodajmy, że dom Tetmajerów był miejscem chętnie odwiedzanym przez krakowskich twórców, intelektualistów (i ludzi należących do ówczesnej elity towarzyskiej w

ogóle), urodziwe dziewczęta bronowickie (również Mikołajczykówny) pozowały malarzom Akademii Sztuk Pięknych, sam zaś Gospodarz – Włodzimierz Tetmajer, nie stronił od kontaktów z miejscowym chłopstwem, czego najlepszym świadectwem był ich szacunek i ... *Słownik bronowski*, opublikowany przez Tetmajera w Rozprawach Akademii Umiejętności. Warto też przypomnieć, że Wyspiański krótko przed Rydlem także wziął ślub z chłopką, Teodorą Teofilą Pytkówną rodem z innej podkrakowskiej wioski, była służącą w domu Stankiewiczów, posługującą się na co dzień gwarą nieco tylko odmienioną przez pobyt w mieście.

Jako twórca, który wprowadził gwarę bronowicką do polskiej literatury, okazał się autor „Wesela” zdumiewająco bystrym i wnikliwym obserwatorem chłopskiej mowy. We wspomnianym wyżej artykule, opublikowanym w „Języku Polskim”, przedstawiłem m.in. liczące kilkadziesiąt (!) pozycji zestawienie tych właściwości gwary bronowickiej, które odnalazłem w tekście dramatu (z braku miejsca pominąłem tam charakterystyczne słownictwo). Samo powtórzenie w tym miejscu tego wyliczenia byłoby zbyt nużące dla czytelnika, trzeba jednak choćby w telegraficznym skrócie przywołać to, co najważniejsze. Chłopi z „Wesela” mówią: *Chińczyki, cytomy, syrso, dejze, dusa* (jest to tzw. mazurzenie); jak przed wiekami Jan Kochanowski wymawiają tzw. samogłoski pochylone: *ptok, copka, jo, pon, lonie, teroz, mlyko, dziywki, syrso, siywo sie, całygo, późni, wiyncy, papiyry*; dalej – *mistryny* zamiast *misterny* (a więc tak, jak sam słyszałem u starszych, np. *hyrbata, chyrlać*); zamiast literackiego *-ą, -ę* na końcu wyrazu jest u nich: *lece, ide, copke, a cóż ty mos za tęgom mine, bez tom wieche, krwiom, śpiom, chcom, radujom sie, jo mom rękę silno, cało flaszke bestia schłoł* (por. pospolite



Ślub w Bronowicach Wielkich (1939 r.) – panna młoda i druhna w tradycyjnych strojach bronowickich

i dziś w Bronowicach *som 'są'*); dalej – *wzion, spion* (zamiast *wziął, spiął*); *pletło sie, spiere* (często i dziś słysząc w Bronowicach np. *mietła, zaniесе, biere*, dawniej też: *biedry, Pieter* itp.); inaczej niż w książkowej polszczyźnie brzmią połączenia *ił, ył, oł*, np. *świyciół 'świecił', piernół 'pierdnął'*; są też formy typu *gront, font* (sam dzieckiem słyszałem w sklepie – jedynej wówczas „spółdzielni” – *pół fonta cukru*); występują poszerzone o *e* przyimki i przedrostki: *ze sewcem, we trzy roki, zesypać, przede świtem* (częste i dzisiaj: *ze zymi, zesadź go, ode drogi* itp.); wymawiane są inaczej niż dzisiaj: *skaradne štuki, škapa, strasnie* (por. dobrze mi znane z młodości: *śpic, sty-chówka, źmija* i in.); zanika w wymowie końcowe *-ł*, np.: *posed, zmięk, wszed, upod*; mówi się *oz-* zamiast *roz-*, np.: *Tyło ozrywki w cały bidzie*. Inaczej niż w języku literackim także odmieniają wyrazy: zamiast *do skrzyni, koło studni* itp. jest np.: *z Kałwaryje, do skrzynie, kole studnie*; zamiast np. *bawiłam się, spałam, jesteśmy* mówi się: *jo myślała, że co inne, jo naloz 'znalazłem', jo sie bawiła wprzódi 'przedtem, dawniej', my som swoi, my som zdrowi, jo nie bogaty, czy*

ja spał; uderzające (bo i dziś popularne) są formy typu: *świsła, szarpła, krzykła*; zaskakują zapomniane już dziś formy dawnej liczby podwójnej: *przyjdziwla, byśwa byli radzi z was, zbierema się, słysta, Hanuś, Błazek, matuś*; powszechne jest tzw. „dwojenie” i „trojenie” rozmówcy (mówienie z szacunkiem per wy, oni do kogoś): *Toście zawdy mocny pyskiem, Pon się boją we wsi ruchu, Tatuś sie weselem cieszą, A kaz tyz ta Polska, Pon wiedzą?* W „Weselu” znajdziemy też dużo starych bronowickich wyrazów: *gawędzić* ‘przeszkadzać’, *psiekrwia, pokiyl* ‘dokąd’, *bez* ‘przez’, *kazować, dzisiok, wcora, ktosik, haw, hań, kaj* ‘gdzie’, *juści, kaźden, bajok, latawica, śpik* ‘smarkacz’, *wsioski, spleznąc* ‘obsunąć się’, *zdyb, zabyć* ‘zapomnieć’, *cejco, gad* ‘zwierzę domowe; zbiorowo: *gadżina*’, *ciewy, ciewy, ciągiem* ‘stale’, *wielgi, tyła* ‘tyle’, *duza* ‘dużo’, *kiela i wiela* ‘ile’, *tylecka, se* ‘sobie’ i wiele, wiele innych, zasłyszanych i wplecionych przez autora w sceny z udziałem chłopów.

Jest to bogactwo języka zaskakujące na tle dokonań innych autorów sięgających po gwarę jako tworzywo literackie. Aż chciałoby się zapytać, co Wyspiański pominął, o czym ważnym zapomniał w tym w końcu odbiegającym (literatura!) od pierwowzoru obrazie bronowickiego chłopstwa. Nie wiele tego. Doliczyłem się niewiele takich pominiętych właściwości: silnego zaokraglania warg przy wymawianiu *o, u* (*uociet, uorcyk, uoko, uuoki* itp.), które sprawiało zbyt dużą trudność w zapisie; i dziś częściej w żywej mowie zamiany końcowego *-ch* na *-k* (*po dworak, w tamtyk stronak, na Biylanak* itp.); uproszczenia końcowego *-ść, -śń* (*kras, plyś* ‘pleśń lub pleść’ itp.); odmiany zaimków jak przymiotników (*tygo dobrogo kónia* itp.); wymowy połączeń *r+s, r+z* jak *ż* (*na Dwożko* ‘na Dworską Droge’, *źmieżyły* ‘zmierzły’ itp.) i kilku pomniejszych, nie licząc

oczywiście słownictwa, którego jednak używa się przecież w zależności od potrzeb i tematu rozmowy. W niczym to jednak nie wpływa na ocenę faktu, iż mamy w „Weselu” do czynienia ze stylizacją gwarową o wyjątkowo szerokim w polskiej literaturze zakresie, bardzo sprawną, świadczącą przy tym o niezwykłym wręcz obyciu i osłuchaniu z gwarą twórcy nie wywodzącego się z ludu. Wystawił autor w swym dziele piękny pomnik zagubionej już dziś, niestety, bronowickiej gwarze!

Oczywiście aktorzy grający Czepca, Pannę Młodą czy Jaśka nie mogą przemawiać ze sceny jak prawdziwi chłopci, sama gwara zaś nie może być natrętnie obecna w tekście dramatu, bo stałby się on dla widza (i czytelnika) niezrozumiały i męczący (jak np. dla zwykłego śmiertelnika rozmowa podhalańskich górali), a także „nieprzejrzysty”, gdy idzie o rozpoznanie głębszych treści utworu. Każdy pisarz, reżyser filmowy musi wobec tego umiejętnie nasycać tekst fragmentami gwarowymi i dokonać wyboru (selekcji) wśród właściwości ludowej mowy, by tego niebezpieczeństwa uniknąć. Czasem takie próby wypadają (zwłaszcza w ocenie fachowców lub ludzi znających kulturę wsi) marnie, jak pokazuje przykład filmowego „Janosika”, nadającego się pod tym względem do porównań z wyczynami bigbrotherowców, którzy dostali za zadanie mówić na co dzień po góralsku. Są i przykłady współczesne bardziej interesujące, a bliższe naszego podwórka. Swego czasu Andrzej Wajda przygotowywał inscenizację „Wesela” na deskach Teatru Starego. Rzecz ciekawa, w poszukiwaniu środków wyrazu sięgnięto wówczas po autentyczną gwarę Bronowic, wprowadzając ją bardziej konsekwentnie do scenicznych dialogów. Korzystano z pomocy aktorów osłuchanych z bronowicką gwarą (np. p. Nowaka). Ja sam, poproszony o to przez grającą Marysię aktorkę, próbowałem jej

przekazać, głównie jak wymawiać poszczególne wyrazy i zdania, jak nadać całości (także formom, gdzie Wyspiański gwary nie wprowadził) autentyczne brzmienie. Byłem na premierze, widziałem ogromny wysiłek aktorów, próbujących sprostać temu wyzwaniu, kiedy to zmagali się z oporną materią tej obcej im mowy, usiłując nie zgubić interpretacji roli. Nieco zdezorientowani byli i widzowie, i krytycy, niezbyt zdający sobie sprawę z tego, co zaszło. Ja również, choć – przyznaję – dałem się ponieść fali entuzjazmu aktorki dla reżyserskiego pomysłu, opuszczałem teatr z mieszanymi uczuciami.

Dlaczego taki eksperyment przyniósł wątpliwe rezultaty? Odpowiedź tkwi w tym, co Wyspiański uczynił z gwarą w tym utworze. Otóż stała się ona nie tyle elementem charakteryzującym chłopskich bohaterów, podkreślającym ich odrębność wobec „państwa z miasta”, co niezależnym i autonomicznym – powiedziałoby się – „pełnoprawnym” tworzywem, z którego utkana jest materia arcydramatu genialnego twórcy. Gwara podlega tu tak niecodziennemu rygorowi, jakim jest dość regularny wiersz, na sposób muzyczny zrytmizowany w układach krótkich, rymowanych wersów. Jak to określają badacze literatury – prosta chłopska mowa ulega poetyzacji, ustępując ze swych właściwości (np. rzeczywistego brzmienia, por. *ino te ciarachy tworde, trza by stoć i walić w morde* – w ustach Panny Młodej) wszędzie tam, gdzie sprzeniewierałoby się to owej nadrzędnej zasadzie. Sądzę, że to rzecz najistotniejsza, gdy pod takim kątem spojrzeć się na bronowicką gwarę w „Weselu”. Dokładniejsze informacje na ten temat można znaleźć w kilku studiach poświęconych językowi i twórczości S. Wyspiańskiego. Pamiętajmy jednak (tu apeluję zwłaszcza do młodych), że nic, żadne, choćby najwnikliwsze opracowanie naukowe, czy szkolny bryk nie dorówna tej wyjątko-

wej przyjemności, jaką daje przeczytanie i obejrzenie „Wesela”, zwłaszcza kiedy mieszka się i żyje w Bronowicach, chodzi na przykład do szkoły z potomkami Czepców, a Mikołajczyków ma się za sąsiadów. Reszta to, jak ujmuje dosadnie rzecz młodzież, „lizanie lodów przez szybę”.

Cóż wart byłby taki rocznicowy tekst nie okraszony barwniejszą anegdotą? Otóż Wyspiańskiemu, mimo całej jego biegłości i wirtuozerii w posługiwaniu się chłopską mową jako tworzywem artystycznym, także zdarzyły się, mówiąc potocznie, zabawne wpadki. Otóż Czepiec w scenie rozmowy z Czepcową, która usiłuje skłonić mocno podchmielonego małżonka do zaniechania awantury z muzykantami, przemawia do niej... jak do krowy: *następ!*, zamiast na przykład *cał sie!* No... chyba że się mylę i moja wiedza o bronowskiej gwarze okazała się w tym wypadku niewystarczająca. Może ktoś z życzliwych czytelników zechciałby mnie w takim wypadku oświecić, jak jest naprawdę? Dalej – Staszek (parobek, służący do koni!) podaje Gospodarzowi złotą podkowę ze słowem: *Na!* – wedle mojego rozeznania stosownym raczej przy podawaniu czegoś np. psu, ewentualnie dziecku, ale nigdy w takim wypadku. Oczywiście jest to komizm nie zamierzony przez twórcę, nie dostrzegany przy tym przez ludzi nie znających gwary.

Skoro Święta za pasem, wypada też wpleść na koniec bożonarodzeniowy akcent. Idzie tu o wiszący w naszym kościele obraz Madonny z Dzieciątkiem pędzla Włodzimierza Tetmajera. Najświętsza Paniienka ukazana została pod postacią młodej kobiety (dziewczyny?) w regionalnym stroju krakowskim, Dziecię unosi błogosławiącym gestem rączkę („Podnieś rączkę, Boże Dziecię, błogosław Ojczyznę miłą...”), wokół symbole płodności ziemi (róg obfitości) przybliżające wiernym tajemnicę „krynicy łask” i opiekuńczego wstawienictwa

Matki Najświętszej za naszym narodem. Słowem – chłopska Madonna, co podkreślają jeszcze rysy twarzy, nieco surowe, i jej wyraz uchwycony w chwili zadumy i troski. Rysy jakby znajome, odżywające w pamięci typami kobiecych twarzy zapamiętanymi jeszcze z dzieciństwa i ze starych fotografii. Nie jest to uroda dzisiejszych gwiazd filmowych, bardziej zwykła, nie pozbawiona jednak pewnego uroku szczerości i prostoty. Jest jednak coś szczególnego w naszym wizerunku, bowiem Królowa Aniołów ubrana jest w sposób przypominający bronowicką oblubienicę idącą do ołtarza – w koronie – paradnym wieńcu na głowie i zdobnym gorsecie. Nie jest to ze strony malarza żadne świętokradztwo, skoro np. w Hiszpanii, we Włoszech, czy w krajach afrykańskich artyści i wierni wyobrażają sobie tę najbliższą człowiekowi Bożą Rodzicielkę w sposób sobie właściwy, odpowiadający ich poczuciu duchowego piękna (nie inaczej było w dawnych wiekach). Wspomniany strój Matki Boskiej wzmacnia wyraz artystyczny dzieła, bowiem służy nie tyle podkreśleniu wewnętrznego piękna, co symbolicznemu uzewnętrznieniu jednej z fundamentalnych prawd naszej wiary – dogmatu niepokalanego poczęcia Najświętszej Marii Panny, czystości i doskonałości duchowej. Artysta sięga do plastycznej metafory odzwierciedlającej boski, nie ludzki wymiar tajemnicy beltejskiej stajenki. I choć to zestawienie mogło dawniej nawet nieco szokować użytymi środkami wyrazu (chłopka – dziewczyna i dzieciątko), całość zyskuje głęboki religijny wymiar. Kluczem do jego rozumienia dla tych, do których wyobraźni obraz ten miał i ma przemawiać, pozostają tak silnie zapadające w pamięć fragmenty pieśni maryjnych, wezwania Litanii Loretańskiej, czy tak cudownie brzmiących w ustach mojej babci Godzinek. Zapewne wielu jeszcze ma w uszach te przebijające się

przez dźwięki codziennej krzątani słowa, a więc zaśpiewajmy:

Zawitaj, Pani świata, niebieska Królowa,
Witaj Panno nad panny, gwiazdo
porankowa.
Zawitaj, pełna łaski, prześliczna
światłości,
Pani, na pomoc świata śpiesz się, zbaw
nas z złości.
Ciebie Monarcha wieczny od wieków
swojemu,
Za Matkę obrał Słowu jednorodzonemu;
Przez które okrag ziemi i nieba ogniste,
I powietrze i wody stworzył
przezroczyście.
Ciebie Oblubienicę, przyozdobił sobie,
Bo przestępstwo Adama nie ma prawa
w Tobie.

Tak oto elementy codzienności, tradycji, mitu i świętości spletają się w pełną symbolicznych odniesień rzeczywistość sztuki. W równej mierze dotyczy to uniesionych w „Weselu” Wyspiańskiego do wyżyn poezji pamiętnych godów młodych państwa Rydlów, bronowskiej chałupy i chłopskiej mowy, jak i tego wizerunku Najświętszej Paniienki, który pozostawił potomnym W. Tetmajer. I nie jest ważne to, co pozbawiało niektórych dawniej jasności myślenia, owa naturalna chęć ustalenia, kogóż to na tym obrazie sportretował i czy osoba ta zasłużyła na takie wyróżnienie (krakowska premiera „Wesela” także odbywała się w atmosferze towarzyskiego skandalu...). Wszystko utwierdza w przekonaniu, że nie ma lepszego miejsca dla tego dzieła niż bronowicki kościół. Byle tylko nie zabrakło wśród nas ludzi wrażliwych na te znaki, którymi uposażyli nas przodkowie. Bez tego poczucia żywego związku z wydającą człowieka „małą Ojczyzną” jest się tylko listkiem na wietrze, rośliną pozbawioną głębszych korzeni. Tak sam to przynajmniej widzę, kiedy – kończąc ten tekst – dołączam się do redakcyjnych życzeń dla Wszystkich Państwa Oczekujących nadejścia kolejnych świąt Narodzenia Pana Jezusa.

Kazimierz Sikora

Ach, te Barcice...!

Był piękny, słoneczny poranek 13 sierpnia. Przechodnie z zaciekawieniem zerkali w kierunku parkingu przed kościołem. Tam zaś panował ruch, zgiełk i harmider. Rodzice nerwowo spoglądali na swoje pociechy, żegnali się i pomagali ładować górę plecaków i walizek w bagażniku autobusu. Dało się odczuć panujący nastrój podniecenia i ciekawości. W końcu każdy zajął swoje miejsce, odebrał ostatnie pouczenia i buziaki od rodziców i... w drogę! Po raz kolejny wyjechaliśmy na zorganizowaną przez o. Wiktora oazę, czyli letni wypoczynek z towarzystwem Słowa Bożego. Tym razem naszym celem znów nie była Hiszpania, tylko niewielka, ale równie malownicza miejscowość w okolicach Nowego Sącza – Barcice. Po prawie dwugodzinnej podróży dotarliśmy na miejsce. Pięknie położony nad brzegiem Popradu i otoczony zielenią ośrodek zrobił na nas duże wrażenie. Wiedzieliśmy, że będzie nam się tu podobało. Potem nastąpiło zakwaterowanie – trwało to bardzo długo i nie obyło się bez problemów, a gdy już każdy miał swój pokój i wszyscy byli zadowoleni, podzieliśmy wszystkich uczestników, których w tym roku było wyjątkowo dużo, bo aż 43 osoby, na trzy grupy. Tak więc grupa chłopców trafiła pod opiekę o. Wiktora i br. Leonarda, starszymi dziewczętami zajęła się niezastąpiona pani Renata Bogucka, a najgrzeczniejsza grupa młodszych dziewczynek przypadła w udziale Justynie Kotarbie i Magdzie Szymoniak. Już pierwszego dnia postanowiliśmy zapoznać się z okolicą, a potem każdy następny upływał coraz szybciej. Oczywiście w centrum każdego z nich znajdowała się Eucharystia. Przez cały czas pobytu w Barcicach dopisywała nam piękna pogoda, dlatego też kąpiele w Popradzie należały do codzienności. Nikt chyba nie zapomni trzech wspaniałych wycieczek: odwiedziliśmy Stary Sącz, Krynice i Piwniczną. Wyjazd kolejką gondolową na Jaworzynę Krynicką chyba wszyscy zapamiętają, podobnie jak zakupy na Słowacji i degustację wody mineralnej w Piwnicznej. Na miejscu też nie brakowało atrakcji: był pokaz mody (ujawniło się tu parę nie odkrytych talentów zarówno w dziedzinie kreowania jak i prezentowania mody), niezwykle udane śluby oazowe (o. Wiktor tym razem wcielił się w rolę ojca każdej z pięciu przepięknych panien młodych, odprowadzając je do ołtarza), niezapomniane ogniska i pogodne wieczory przy gitarze (tu z kolei ujawniły się talenty wokalne i aktorskie naszych podopiecznych), zawody sportowe (m.in. towarzyski mecz w piłkę nożną z miejscowym klubem – Barcizanką, który mimo wysiłków o. Wiktora i br.

Leonarda i gorącego dopingu, przegraliśmy 13:0) no i oczywiście nieustające dyskoteki – i tutaj niezastąpiona okazała się przebywająca w tym samym ośrodku na obozie treningowym grupa tancerzy tańca towarzyskiego z krakowskiego NCK-u. Urozmaicali nasze dyskoteki, udzielali nam krótkich lekcji tańca, udało się nawet nawiązać sympatie i znajomości podtrzymywane już po powrocie do Krakowa. Mieliśmy też gości – oprócz rodziców tradycyjnie ze słodkimi prezentami pojawili się o. Jacek i o. Tomasz. Jednak wszystko co dobre szybko się kończy. Ani się obejrzeliśmy, gdy uroczystą AGAPĄ musieliśmy zakończyć pobyt w Barcicach. W dniu wyjazdu niechętnie spakowaliśmy się, posprzątaaliśmy pokoje i pożegnaliśmy się z przesympatycznym personelem ośrodka. Zostawiliśmy Barcice i wróciliśmy do naszych Bronowic – wszyscy zadowoleni, wypoczęci (może poza opiekunami, którym podopieczni nie pozwalali na sen nawet w czasie ciszy nocnej...) i opaleni, z nadzieją, że za rok też wybierzemy się na oazę. Można bowiem uznać, że takie wyjazdy weszły już do tradycji i być może kiedyś wreszcie uda nam się wspólnie odwiedzić tę wymarzoną Hiszpanię... Na razie wspominamy i z niecierpliwością czekamy następnego lata – na każdym spotkaniu oazy dzieci pytają, kiedy i gdzie znówu razem wyjedziemy? To chyba najlepszy dowód na to, że czas spędzony wspólnie wszystkim się podobał i na długo pozostanie w naszej pamięci.

Magda Szymoniak



*Uczestnicy oazy w Barcicach
– jak widać po minach :) pobyt był bardzo udany*

Dziękujemy o. Wiktorowi za ponowne zorganizowanie oazy a także pani Renacie Boguckiej za pomoc w opiece nad dziećmi.

"DYŻURNY FELIETONISTA"

Janusz Konik

To już trzynasty artykuł jaki napisałem do biuletynu. Najtrudniejszy. Nie, nie przez to, że jestem przesądny, nic z tych rzeczy. W mojej obecnej sytuacji to wprost niemożliwe. Dlaczego? Bo po wygnaniu z Bronowic (z tym wygnaniem, to oczywiście żart) osiadłem na osiedlu o wdzięcznej nazwie Kurdwanów, a okna mojego mieszkania wychodzą wprost na klasztor sióstr Świętej Rodziny z Nazaretu. Pośród wszelakich bzdurnych zabobonów, jest i taki, że dzień rozpoczęty widokiem zakonnic (w tym miejscu najmocniej przepraszam wszystkie siostry zakonne i zaznaczam, że jestem pełen podziwu i szacunku dla ich, jakże trudnego powołania) musi skończyć się jakimś nieszczęściem, więc musiałbym z domu nie wychodzić. Mądrości szukać należy w przysłowiach, a nie w przesadach. Przysłowie zaś mówi: „Najważniejsze, żebyśmy zdrowi byli”. Póki zatem moi najbliżsi i ja sam, nie chwaląc się, w jakim takim zdrowiu jesteśmy, póty trzynastek, czarnych kotów i innych bzdur bał się nie będę.

A teraz już na poważnie. Zawsze, o tej porze, w przeddzień świąt bożonarodzeniowych i sylwestrowej nocy, zamieszczałem na łamach biuletynu swoje, małe podsumowanie mijającego roku. Pisałem o świecie, o kraju, i wreszcie o rodzinnych Bronowicach. Takie usystematyzowanie tematów bardzo ułatwiało pracę. Wystarczyło wypunktować ważniejsze wydarzenia, dorzucić krótki komentarz, a na koniec złożyć świąteczne życzenia. Tak chciałbym zrobić i tym razem, ale Bóg mi światkiem, nie mogę.

Bo co można pisać o świecie po jedenastym wrześniu, po dniu, w którym się okazało, że książkowa i filmowa fikcja może okazać się rzeczywistością. Może tylko tyle, iż dość brutalnie pozbawiono mnie złudzeń co do faktu, że istnieją granice ludzkiego obłędu. Teraz już wiem, potrafię sobie wyobrazić, jak będzie wyglądało przybycie jeźdźców apokalipsy. Niestety, jest to ten typ umiejętności, z nabycia którego wcale nie jestem zadowolony.

Bronowice? Cóż, właśnie za to je kocham, że tak niewiele się tu dzieje. I, na Boga, niech tak już zostanie. Na kanwie wspomnianych powyżej przenosin, zaznaczę tylko: często nam się wydaje, że nie dorobiliśmy się w życiu niczego – dopóki nie musimy się przeprowadzić.



Teraz postaram się wyjaśnić, skąd ta trudność w napisaniu niniejszego felietonu. Parkując samochód, usłyszałem w radiu następujące pytanie: Czy jesteś dumny, że jesteś Polakiem? Czas niestety nagiął, za parę minut miałem pierwsze tego dnia spotkanie, a co za tym idzie, nie mogłem wysłuchać rozpoczynającej się właśnie dyskusji. Pomyślałem jednak, że mogłaby to być bardzo przyzwoita baza do moich corocznych, biuletynowych rozważań o kończącym się właśnie roku. I tu właśnie „zaczęły się schody”. Z początku nawet się ucieszyłem, że nie usłyszałem dalszej części radiowej dyskusji. A nuż zacząłbym powielać jakieś banały, zagrałyby emocje. Nie, lepiej na chłodno w domowym zaciszu zastanowić się, przemyśleć; przemyślenia te, ubrawszy w słowa, spisać... Mówią, że myślenie nie boli.

Czy jestem dumny, że jestem Polakiem? Jeżeli Państwo pozwolą, nie będę się cofał do Grunwaldu. Ograniczę się do Polski Anno Domini 2001. Do Polski pierwszego roku nowego wieku i nowego tysiąclecia.

Początek roku jeszcze nie najgorszy. Nagle za sprawą niedużego ciała, ale wielkiego duchem i talentem faceta, cały świat zaczął się uczyć wymowy polskiego „Ł”. Może tylko trochę irytował fakt, że ci sami komentatorzy sportowi, którzy w roku poprzednim wieszali na panu Adamie Małyszku bardzo różne zwierzęta (a psy zwłaszcza), teraz dla odmiany koniecznie chcieli go zagłaskać na śmierć. Kompletny brak poszanowania dla czyjegoś życia prywatnego, to temat na oddzielny artykuł. Później jeszcze nasi chłopcy od piłki „kopanej” udowodnili, że chcieć – to móc.

Kto nie pasjonował się sportem, mógł śledzić wyścig wyborczy. Tu już z moją dumą było znacznie gorzej. Oto bowiem zobaczyłem i usłyszałem całą rzeszę cudotwórców, którzy w radiu, prasie i telewizji bestialsko mordowali ukochaną przeze mnie logikę. Najczęściej robili to w ten, mniej więcej, sposób: *Ludzie kochani, wybierzcie mnie. Mam dwa, pożyczę dwa – a rozdadam siedem!* Nic to, myślałem, dołożą im ci, którzy ich właśnie wybiorą. Później dopiero okazało się, że ściepa będzie ogólnonarodowa. Nadszedł dzień wyborów. Na potrzeby moich rozważań o dumie podaruję sobie (choć z bólem) analizowanie preferencji, a skupię się na frekwencji (czy raczej jej braku). Tak, jestem dumny, dumny z tych wszystkich, którzy swoim zdrowiem, a bardzo często życiem wywalczyli nam prawo do dokonywania wyborów. Co za tym idzie, nie mogę być dumny z tych, którzy prawem tym wzgardzili. Zaznaczam od razu, że i mnie nie podobało się, iż po raz kolejny muszę wybierać mniejsze zło, ale nikt mi teraz nie zabroni dyskutować o polityce.

Dla opisanie sytuacji powyborczej posłużę się wspomnieniami z lat, gdy nadzorowałem roboty budowlane. Prawie nigdy mi się nie zdarzyło, by fachowiec, mający wykonać jakąś pracę, nie narzekał na robotę swojego poprzednika. Tynkarz na elektryka, że ten źle

poprowadził kable, a on teraz będzie musiał poprawiać. „Fliziarz” na tynkarza, że źle położył tynk i kleju pod flizy wyjdzie za dużo itd. itd. A ja zamiast dumy, że mimo wszystko robota idzie do przodu, marzyłem, żeby oni wszyscy przestali wreszcie narzekać i wzięli się uczciwie do roboty. Prawda, że dokładnie jak teraz?

Poziom obrad panującego nam obecnie parlamentu jest mniej więcej taki: *Świrkowo! Działdziakowa mówi, że używacie słów, których nie rozumiecie! – Powiedzcie Działdziakowej, że jest głupia i vice versa!* To za cały komentarz.

Czy jestem dumny, że jestem Polakiem? Gdy jedynastego listopada, śpiewając w kościele „Boże, coś

Polskę”, mogłem zakończyć refren słowami: „...Ojczyznę wolną pobłogosław...” a nie, jak jeszcze do niedawna: „...racz nam wrócić Panie” – to poczułem, że jestem dumny. Gdy usłyszałem, że rondo w Piotrkowie Trybunalskim będzie nazwane imieniem Edwarda Gierka, to coś... badania naukowe udowodniły, że – POLSKA JEST NARODEM WYBRANYM – jednak nie udowodniono jeszcze – DO CZEGO? Ja, mimo wszystko, jestem dumny i dumy tej życzę również Państwu. I niech to będą moje życzenia bożonarodzeniowe.

PS. A Adaś znowu skacze rewelacyjnie. Czekam z niecierpliwością na następną polską gwiazdę, tylko koniecznie musi się nazywać – Brzęczysszykiewicz.

Czterdzieści lat minęło jak jeden dzień...

W życiu człowieka są przełomowe momenty, które głęboko zapadają w pamięci. Do takich niewątpliwie można zaliczyć pójście do szkoły, wszak jest to nasz pierwszy mały krok w dorosłość i odpowiedzialność. Któż z nas nie pamięta swoich pierwszych dni w szkole. Wspomnienia mogą być różne, jak różne są osobowości ludzi. Dla jednych było to radosne spełnienie oczekiwania na możliwość poznania świata. Tu mogliśmy spotkać nowych kolegów, mogliśmy dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy, tu wreszcie spotykaliśmy nasze pierwsze autorytety, jakim stawiali się niektórzy nauczyciele. Dla innych było to wyrwanie z domowych pieleszy, pójście w nieznane, nie zawsze lepsze od tego, czego zazналиśmy w domu wśród bliskich. Dla jeszcze innych to ograniczenie wolności, bo do tej pory beztrudno biegaliśmy po podwórku, ciesząc się prawie nieograniczoną wolnością, a tu trzeba wytrzymać kilka godzin, siedząc w ławce i jeszcze skupić się nad tym, co mówi do nas nauczyciel, a po lekcjach zamiast bawić się piłką, trzeba odrobić zadanie domowe.

Jakkolwiek wspominalibyśmy nasze pierwsze dni, a potem kolejne lata spędzone w szkole podsta-

wowej, jedno jest pewne – są one ważnym etapem naszego życia. Osiem lat to bardzo długi okres czasu; wiedza o tym zwłaszcza dorosli, którzy nieraz przypominają sobie, jak wolno płynął czas w dzieciństwie, podczas gdy życie dorosłe mknie w tempie oszałamiającym. Jest to czas, kiedy człowiek jest „gliną”, z której kształtuje dopiero swoją osobowość. Dlatego tak ważne jest to miejsce – szkoła, w której dorostajemy. Wążni są ludzie – nauczyciele, którzy mają duży wpływ na to, jakimi się stajemy. Ważne jest to, czy warunki stworzone w szkole przyczyniają się do pomnażania, czy do zakopywania talentów.

Minęło czterdzieści lat, od kiedy pierwsi uczniowie przekroczyli progi Szkoły Podstawowej nr 51 w Bronowicach Wielkich. Już wiele pokoleń przeszło okres formacji w tych murach. A jaki był tego początek? Sięgnijmy do kroniki szkolnej:

„*Usilne staranie Komitetu Rodzicielskiego przy Szkole Podstawowej nr 51 w Krakowie w Bronowicach Wielkich poczynając od 1954 r. i przy przychylnym podejściu Prezydium Dzielnicy Rady Narodowej «Kleparz» oraz władz szkolnych umożliwiły w oparciu o przyznane na ten cel fundusze*

«Tysiąclecia» na rozpoczęcie budowy nowego gmachu szkolnego o 11-tu izbach lekcyjnych ku podnoszeniu oświaty i kultury osiedla krakowskiego Bronowic Wielkich.

Budowę Szkoły Podstawowej nr 51 rozpoczęto 11 sierpnia 1959 r. Inwestorem budowy jest Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego. Gmach zaprojektował Andrzej Radnicki.

Akt erekcyjny złożono dn. 20.12.1959 r.

W dniu 30 listopada 1961 r. o godz. 15-tej odbyło się uroczyste otwarcie nowo wybudowanej Szkoły Pomnika 1000-lecia.

(...)
W 30-lecie Szkoły, 29 listopada 1991 r., proboszcz parafii o. Franciszek Wiater poświęcił sztandar Szkoły”.

Absolwentka

Pod tym pełnym refleksji i uczucia tekstem Absolwentki rezerwowaliśmy miejsce dla kilku choćby słów od Władz naszej szkoły. Nie doczekaliśmy się... O tych wspaniałych ludziach – NAUCZYCIELACH z powołania, którzy czuli się związani z miejscową społecznością i – może nie będąc dobrymi administratorami – robili, co mogli, by NAS wychować na przyzwoitych ludzi, nie zapomnimy! Ja na początek kłaniam się nisko mojej Wspaniałej Pani „od polskiego”, Irenie Szczurek! Kto się przyłączy?

redakcyjny Absolwent

Kronika



3 maja 2001 – W tym dniu dzieci 3ci klasy drugiej przyjęły Pana Jezusa do swoich serc w Pierwszej Komunii św.

19 maja 2001 – Na Mszy św. o godz. 9.30 ks. biskup Wiktor Skworec z Tarnowa udzielił naszym alumnom święceń Diakonu i Prezbiteratu.

20 maja 2001 – Rozpoczęliśmy remont naszej świątyni. W pierwszym etapie malowano prezbiterium, a następnie główną nawę kościoła.

13 czerwca 2001 – Jak co roku w ten dzień św. Antoniemu poleciliśmy chorych naszej parafii oraz dzieci. Świeciliśmy lilie i chleb św. Antoniego.

14 czerwca 2001 – W procesji Bożego Ciała wyznawaliśmy wiarę w Chrystusa obecnego w Najświętszym Sakramencie, który przychodzi do nas w Słowie i Chlebie życia.

29 lipca 2001 – Po raz kolejny, na prośbę ks. kardynała, włączyliśmy się w pomoc tym, którzy zostali w tym roku dotknięci kataklizmem powodzi.

13 sierpnia 2001 – Dzieci naszej Parafii udały się z o. Wiktorem na wakacyjny wypoczynek (na szczęście pogoda nie zawiodła!).

16 września 2001 – Parce remontowe dobiegły końca i tym dniu mogliśmy na nowo modlić się w naszym kościele

23 września 2001 – Rozpoczęły się dni wizytacji biskupiej, które przeżywaliśmy pod kierunkiem ks. biskupa Albina Małysiaka. Wizytacja ta połączona została z Uroczystością Stygmatów Św. Franciszka z Asyżu, a więc naszym parafialnym odpustem.

4 października 2001 – Sześciu naszych współpracowników-kleryków złożyło na ręce o. prowincjała Marka Wacha profesję uroczystą.

21 października 2001 – Dorożczna niedziela misyjna. Gościliśmy w naszej wspólnocie parafialnej o. Pacyfika Iwaszko, który pracuje na misjach w Republice Środkowoafrykańskiej w Zemio. Misjonarz opowiedział nam bardzo wiele o swojej pracy w Afryce.

1 listopada 2001 – Uroczystość Wszystkich Świętych. Stajemy

w zadumie nad mogiłami naszych bliskich, kontemplując człowieczeństwo, przemijanie i świętych obcowanie, do którego wszyscy zdążamy, w pielgrzymce wiary.

18 listopada 2001 – Uroczystość Chrystusa Króla zamyka kolejny rok liturgiczny kościoła, przypominając nam że Królem i Panem naszym jest – Jezus.

2 grudnia 2001 – Adwent, w którym staramy się znaleźć trochę adwentowej ciszy i oczekiwania, pośród reklam bożonarodzeniowych, wciskających się do naszych uszu i serc.

Do grona Dzieci Bożych przez Sakrament Chrztu zostali włączeni: Jakub Jacek Kuśnierz (30.06.2001), Angelika Aleksandra Żurek (21.07.2001), Szymon Piotr Wyczęsany (19.07.2001), Barbara Weronika Gawęł-Kucab (26.08.2001), Oliwia Marzena Klupa (1.09.2001), Antoni Jan Brzozowski (16.09.2001), Grzegorz Bobak (16.09.2001), Paulina Dziwak (20.10.2001), Wiktoria Magdalena Iwulska (27.10.2001).

Sakrament Matrzeństwa zawarli: Edyta Bartosik i Robert Walkowicz, Agata Rusek i Paweł Galos, Katarzyna Kwiatkowska i Michał Kurzeja, Joanna Konik i Michał Lisik.

Do wieczności odeszli: Lucyna Kosoń (11.07.2001), Janusz Szczepański (21.07.2001), Jan Kraj (25.07.2001), Apolonia Nęcza (15.08.2001), Franciszek Sikora (29.08.2001), Józef Adamski (12.09.2001), Helena Śliwka (26.09.2001), Franciszka Lipińska (29.09.2001), Paulina Kołodziej (31.10.2001), Jerzy Ziomek (4.12.2001), Józef Walas (6.12.2001).

Przygotował o. Jacek Koman



Radosnych Świąt Bożego Narodzenia,
pełnych pokoju i ciepła bijącego
z ludzkich serc
oraz wszelkiej pomyślności
w Nowym Roku

życzy
Redakcja

Skład Redakcji: Beata Chochół (red. techniczny), Adam Fałowski, Ryszard Gurbiel (red. odpowiedzialny), Kazimierz Sikora

Adres do korespondencji: Ryszard Gurbiel: 31-344 Kraków, ul. Ojcowska 18 (lub bezpośrednio na adres Kościoła: ul. Ojcowska 1)